№ 50.

Warszawa dnia 3/16 Grudnia R. 1865



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

SERCE I ROZUM MAGDALENY

POWIEŚĆ,

PRZEROBIONA Z FRANCUZKIEGO.

(Dokończenie).

Kiedym przybyła na stacją kolei żelaznéj, pociąg tylko co odszedł, jeszcze widziałam dym unoszący się w powietrzu i ostatnie wagony wsuwające się pomiędzy drzewa niewielkiego lasku. Że zaś była to stacja bardzo podrzędna i stanowiła jedynie osadę samą w sobie, zdala od wszelkich zamieszkań ludzkich, wioski zaś sąsiednie składały lepianki nie bardzo przedstawiające się ponętnie, zmuszona zatem zostałam wrócić do domu z zamiarem wyjechania dopiero jutro przedpołudniowym cugiem.

Przez czas jazdy różne myśli przesuwały mi się w głowie. O Robercie marzyłam ciągle. Przyznać jednak muszę że i Franciszka widziałam często w méj wyobraźni, szczególniéj kiedy opowiadaniem lub rozmową ożywiony, policzki krasiły mu się rumieńcem zapału a z oczów tryskały promienie tak wymownie malujące jego duszę, pełną rozumu, miłości i poświęcenia.

Kiedym stanęła na miejscu, było już zupełnie ciemno, a brama wjezdna zatarasowana niedopuszczała wjazdu na podwórze. Niechcąc robić tumultu, kazałam woźnicy odjechać do stajni, sama zaś z podróżną torbą przeszłam furtkę i małą ścieżynką ruszyłam ku wystawie prowadzącéj do pomieszkania Marji. W pokoju paliła się lampa, na krzesełku siedziała Marja i drzemała, na sofie spała w najlepsze Lucyna. Że zaś drzwi były niedomknięte, wejściem żadnego nie zrobiłam stuku, i sen śpiących na chwilę nie został przerwany. Cichutko po schodach poszłam na górę.

W sieni zaraz uderzył mnie niezwyczajny gwar którego sobie wytłómaczyć nie mogłam, połączony jakby ze śpiewem i radosnemi okrzykami, i to tak zbliska uszów moich dochodzącemi, że byłam pewną że wychodzi z mego pokoju. W prędce jednak przekonałam się o mylności tego przypuszczenia, salon to łączący się z mojem mieszkaniem, wrzał takiem życiem i niezwykłym gwarem. Że zaś wiedziałam iż drzwi do niego są zamknięte własną moją ręką, a klucz od mieszkania miałam przy sobie, po cichutku więc prawie bez szmeru, weszłam do sypialni i powodowana szczególną ciekawością, nie rozbierając się ani zapalając światła przysunęłam się do drzwi. Teraz wyraźnie poznałam chór głosów męzkich, rozprawiających razem dosyć krzykliwie. W drzwiach do salonu idących, znajdowało się oszklone okienko od mojéj strony przysłonięte gęsto sfałdowaną firanką. Odsunęłam ją i spojrzałam.

Na środku salonu stał stół okrągły zarzucony talerzami, nożami, widelcami, półmiskami i resztkami spożytego objadu. W około niego siedziało sześciu młodych mężczyzn zupełnie mi nieznanych w tużurkach i bez tużurków, z cygarami w ustach a kieliszkami w ręku z pieniącym się szampanem. Pomiędzy niemi z wielkiem zadziwieniem ujrzałam Franciszka, z poważnym zamyślonym wyrazem twarzy, po któréj, przebiegały chmurki jakby gniewu i niezadowolenia.

Kiedy zaledwie zdołałam zrobić sobie zapytanie, co to byli za goście których tak suto ugaszczał Franciszek, owa uosobiona skromność pod każdym względem, jeden z mężczyzn siedzący do mnie plecami, podniósł się z krzesła i uderzając pięścią w stół, zawołał:

— „Cóż to panowie, siedziemy jak mnichy? Niech żyje pieśń wesoła! Panie Franciszku wyręcz mnie....

Usłyszawszy głos ten, myślałam że padnę trupem. Był to bowiem głos Roberta ale jakiś chrapliwy bełkoczący, ani podobny do tego jakim kiedyś do mnie przemawiał. Powstawszy, zbliżył się do świecy dla zapalenia zgasłego cygara, i zobaczyłam wtenczas twarz jakby nabrzękłą, oczy zamglone i lica pałające

gorączkowym rumieńcem. Odchodząc zatoczył się cokolwiek i wychylając kieliszek zawołał:

— „Zdrowie nasze i zdrowie wszystkich kuropatw, przepiórek, zajęcy, które przestraszone chybnemi waszemi strzałami, błąkają się teraz swobodnie po łąkach, lasach i polach, naśmiewając się z waszéj niezręczności.“

— „Nie byłeś Robercie ostatnim“ — odezwał się jeden z biesiadników, a chociaż do paryzkich dzierlatek strzelasz dobrze oczami, w lasach i polach Bretanji lwem zwycięzkim nazwać cię nie można.“

— „Dzierlatki paryzkie przejadły mi się“ — odrzekł Robert krzywiąc się jak po zażyciu lekarstwa— „są to ptaszki o ładnych piórkach ale bez skrzydeł, wadę więc mają główną że nie umieją uciekać.

— „Czy wszystkie?

— „Wszystkie bez wyjątku.

— „Ej! nie chełp się braciszku, bo ci oczy wykłuję....“

— Czem?

— „Twemi własnemi słowami“.

— „Miljon set! — “ zawołał Robert siadając ciężko na krzesełku — „jeżeli masz na myśli Magdalenkę ową niewinność o czarnem figlarnem oczku, poetycznéj główce a gorącem serduszku, to się mylisz....“

— „Nie, nie mylę się. Alfred któremu się zwierzyłeś....

— „To Alfred kłamie, jeżeli coś powiedział na moją niekorzyść.....

— „Wytresowany to krogulczyk do chwytania płochych ptaszyn, z nim nikt walczyć nie może“.

— „I to kłamstwo! — zawołał Robert ściskając pięści i w téj chwili od rozdrażnienia, skronie, twarz i czoło okryły mu się naprężonemi żyłami, jakby z nich krew chciała wytrysnąć.

— „Nie masz się o co gniewać“ — odezwał się drugi z biesiadników — w życiu ludzkiem z zawodem często można się spotkać, a komuż łatwiéj jeżli nie motylowi, zranić skrzydełka o kolce róży starannie osłonięte listkami.

— „Jeżeli mnie uważasz za tak niezdarnego motyla, to się mylisz. Kolcy nie znam pomiędzy kwiatkami paryzkiego ogrójca, a jeźlim wonią którego nie rozkoszował się, to z własnéj woli, dla tego żem nie chciał, rozumiesz?

— „Jakto, i Magdalenkę wciągasz do téj kategorji?

— „I Magdalenkę i Józię i Emmę i kogo chcesz“— odrzekł Robert z coraz większem rozmarzeniem od trunku. Co się ze mną działo, łatwo sobie wyobrazić. Drżałam a nawet trzęsłam się febrycznie, przechodziło przezemnie to zimno to gorąco, a serce sądziłam że mi rozsadzi piersi. Chciałam uciec ale nieprzezwyciężona siła zatrzymywała mnie w miejscu: chciałam płakać, nie mogłam, chciałam rzucić obelgę całemu gronu, choćbym w tym krzyku duszy, miała zużyć całe swe życie, ale usta miałam martwe i nieruchome.

Zostałam więc w mojem stanowisku, rozżalona, bolejąca, z oczami wlepionemi w biesiadników i z uchem chwytającem każdy wyraz przez nich wymówiony. Franciszek ciągle był milczący. Na twarzy malowało się wielkie oburzenie, ale siedział spokojny, tylko po niecierpliwym ruchu rąk łatwo można było odgadnąć, co się wewnątrz niego dzieje. Nie pił nic prawie, kieliszek stał przy nim nawet nie zaczęty. Obecność jego w tem miejscu, była dla mnie straszną. Co sobie pomyśli o mnie, mówiłam sobie w duchu, jakież poweźmie wyobrażenie o istocie tak poniewieranéj w pijackiem gronie lekkomyślnych młodzików pod przewodem tego, któregom tak ukochała? Było to dla mnie strasznem, okropnem...

Nagłe przyciszenie gwaru, oderwało uwagę moją od własnych myśli. Usłyszałam głos Roberta górujący po nad innemi.

— „Więc opowiem wam wszystko“ — mówił Robert — nieopuszczając najmniejszego szczegółu, abyście mogli łatwo osądzić, rzecz samą.

— „Zgoda — zgoda! — zawołano tłumnie—„opowiadania własnych przygód, to więcéj zajmuje jak najciekawsza powieść. Miłość to dusza świata....“

— „Jeżeli miłości się spodziewacie“ przerwał Robert — „to was zawód czeka. Było to coś nakształt piwa musującego i rozsadzającego nawet butelki, ale czyż go można porównać z szampanem? Tam gdzie w dramacie występuje mąż, a żona jest za kulisami, gdzie o akcie prawnym tym sposobem nie może być mowy, tam w akcji rozwijać się może tylko miłostka, a nie miłość, tam się szuka zabawy, jak tańcującego wieczoru, lub myśliwskiéj rozrywki, a nie westchnień i wykrzykników, mogących wybornie służyć za szczebelki dla gruchających śnieżnéj białości gołąbków, a nie za cel jedyny dla takich zębów jak nasze.

— „To dla nas jest obojętne“ — ozwało się kilka głosów — „nie idzie nam o nazwę ale o rzecz....“

— „Ale mnie idzie, bo sąd do tego musi być regulowanym. Całe to zdarzenie“ — mówił daléj Robert tonem udanego płaczu, wzdychając i przekręcając oczami z rozmyślną przesadą — „przykrem jest dla mnie niewymownie. Ile razy przypomnę go sobie, zawsze wzdycham i boleję.... wyrzekłszy to rozpłakał się komicznie spoglądając po towarzyszach.

— „Brawo! — brawo! — zawołano do koła, a jeden odezwał się — „opowiadanie każde należy krasić dowcipem, żeby słuchaczy niepospiło. Robert w pierwszym podskoku, wybornym się okazał. Brawo Robert!

— „Brawo — brawo! — powtórzono, a Robert przechylił się na krzesełku i śmiejąc się zaspiewał jedną zwrotkę piosnki, którą w całości dopiero późniéj poznałam.

Dąbczki co w lesie stały,
Na brzezinki spoglądały,
Dęby zwano Robertami
A brzezinki Magdusiami“.

A ku—ku – ku—ku—ku—ku!

I całe grono powtórzywszy dwa ostatnie wiersze, naśladując głos kukułki, zaczęło wołać z największą wesołością, a ku—ku—ku! Kiedy się uciszono i Robert chuśdając się na krzesełku, wypuszczał kłęby dymu, przypominając sobie drugą strofkę, Franciszek blady, prostując się, powstał z siedzenia i spokojnym głosem, w którem się jednak przebijało lekkie drżenie, łatwo przezemnie poznane, rzekł:

— „Panowie, uważając was za ludzi honoru, jestem pewny że nie obrazicie się prożbą, przemienienia piosnki na jaką inną, nie tak obrażającą miejsce to

wktórem panna Magdalena jako właścicielka, zdaje mi się że powinna być szanowaną.

— „Słuchaj panie Duval“ — odezwał się jeden z młodych biesiadników — „umiem cenić szlachetne twoje wystąpienie w obronie nieobecnéj, ale pod tym względem jesteś w błędzie. Ubogiéj nieposażnéj panience, zdawało się że gładką młodą buzią ułowi bogatego męża. Gdy starania nie powiodły się z kawalerem, zagięła parol na żonatego pewna, że zazdrość żony, swary, nieporozumienia, spowodują rozwód, który nagna ptaszka w siatkę utkaną z jéj westchnień, promienistych spojrzeń, jedwabnych słówek i całego arsenału zręcznéj kokieterji. Ale czyż rozsądny człowiek, przyjmie to wszystko za dobrą monetę i nie pozna się na szychowych świecidełkach?

— „I któż to panu powiedział, że tak było? — zapytał Franciszek ponuro.

— „Możesz mi wierzyć panie Duval, sprawę tę znam dobrze“.

— „Ale kto powiedział, racz mnie objaśnić?

— „Kto powiedział, to rzecz podrzędna, ale tak było i jeszcze raz powtarzam że możesz mi wierzyć.

— „To ten jest nikczemnym kłamcą, i godnym policzka jako piętna hańby“.

Po tych słowach wymówionych wolno i stanowczo przez Franciszka, na chwilę zapanowała cichość między biesiadnikami. Spojrzenia wszystkich skierowały się ku Robertowi, jakby z żądaniem od niego odpowiedzi. Robert jednak niewyrzekł ani jednego słowa, tylko zmarszczony patrząc w ziemię, machinalnie poniósł do ust kieliszek.

— „Czy pan kochasz pannę Magdalenę“ zapytał Franciszka najbliżéj niego siedzący — „że z takim zapałem bronisz jéj sprawy?

— „Czy pan robisz to zapytanie, z całym szacunkiem przynależnym téj młodéj osobie, czy też...“

— „Naturalnie, zupełnie serjo.“

— „Jeżeli tak, to wyznam panom z całą otwartością, że tak jest rzeczywiście, kocham pannę Magdalenę, i miłość dla niéj uważam za prawdziwy dla siebie zaszczyt, chociaż...“

— „A! więc pan narzeczony?“

— „Nie, przeciwnie, odrzucony“ odrzekł Franciszek smutnie — „i dlatego strony te a nawet Francję za tydzień zupełnie opuszczam.“

— „A więc cóż cię powoduje do tak żarliwéj obrony?“

— „Miłość prawdy i cześć dla téj zacnéj dziewicy, która powodowana prawdziwem uczuciem, o mało błędu swego serca życiem nieprzypłaciła.“ Dziwnym zbiegiem okoliczności byłem świadkiem jéj walki uczucia z twardą koniecznością. Widziałem jéj męki, bóle, wytrwałość żelazną z jaką torturowała własne serce. Hart jéj duszy w walce z saméj sobą, godzien największego podziwu, rozum uwielbienia a silnawola...

Wszystko przesada“ mruknął Robert pijanym głosem — bo pan Franciszek na jeden dzień nieopuszczał La Roche Yvon, a kuzynka Magdalena od pół roku blisko bawi o sto mil od Paryża.“

— „Tak ci powiedziano panie Robercie“ odrzekł Franciszek — „bo tak wymagały okoliczności. Ale panna Magdalena przez cały ten czas bawiła pod tym samym dachem co i my obecnie, osłoniona największą tajemnicą, mieszkała w obocznych pokojach i dziś na szczęście wyjechała po południu do Paryża. Twierdzenie moje łatwo sprawdzić, a w każdym razie zaprzeczanie twoje panie Robercie słowom przemawiającym na korzyść panny Magdaleny, jest zupełnie niewłaściwem, choćbyś nawet był przekonanym o ich nieprawdziwości.

— Któż to śmie dawać mi tu jakieś nauki? zapytał Robert zrywając się z krzesełka i opierając rękami na stole.

— „Ja, Franciszek Duval“ odrzekł Franciszek także powstając i zbliżając się do stołu — „ja właściciel małéj wiejskiéj osady, którybym sobie poczytał za hańbę, gdybym czemkolwiek ubliżył nieobecnéj kobiecie godnéj szacunku, a za nikczemność gdybym od potwarzy nie bronił téj, którą żona moja nazywałaby siostrą.“

— „Panowie, dajcie pokój“ odezwało się kilka głosów — „czas skończyć to nieporozumienie.“

Wszyscy powstali, zbliżając się do powaśnionych. Robert rzucał się, bił pięściami o stół, krzyczał, kopał stołki, a Franciszek cichy, spokojny stał jakby ukuty z granitu, wyróżniając się pomiędzy wszystkich lekkiem zarumienieniem twarzy, wywołanem żywością rozprawy. Gdybym mogła, byłabym się wtenczas rzuciła przed nim na kolana, i ucałowała ręce na dowód mojéj wdzięczności, za obronę tak dzielnie i śmiało poprowadzoną. W tem wrzasnął Robert głosem ryczącym jakby chciał przekrzyczyć wszystkich:

— „Co mi on tu ma gadać o hańbach. Com opowiadał to prawdą jest...“

— „Więc to ty panie Robercie? zapytał Franciszek.

— „Ja! i cóż z tego?

— „I nieodwołasz popełnionego kłamstwa?

— „Ty sam jesteś kłamcą“ wrzasnął Robert.“

— „A ty nikczemnym“ odrzekł Franciszek.

Robert stanął jak wryty, spojrzał wściekłym wzrokiem na Franciszka i zapytał głosem trzęsącym od gniewu:

— „Co? coś ty powiedział? czym się przesłyszał...“

— „Jesteś nędznikiem — odezwał się Franciszek wychodząc jaż z granic wszelkiego umiarkowania— jesteś nikczemnym potwarcą, kalającym niewinną dziewicę, jesteś...“

Nagle ozwał się wystrzał w pokoju, nastąpił potem niezwykły rumot, jakby upadającego człowieka, dym zasłonił wszystkich, a pewna że Franciszka zabito, w sercu tak straszliwy uczułam ból, że krzyknęłam długo i przeciągle i padłam omdlała na ziemię.

Co się daléj działo już nic nie pamiętam. W sennych marzeniach straszliwéj gorączki jaka się natychmiast we mnie rozwinęła, ostatnia scena przedstawiała mi się w tysiącznych obrazach przerażających swą okropnością. Widziałam w nich Franciszka skrwawionego bez życia, potem złożonego na marach i jakby z wyrzutem spoglądającego na mnie. Potem słyszałam bicie dzwonów kościelnych, i uroczysty śpiew księży postępujących na czele pogrzebowego orszaku ku wiejskiemu cmentarzowi. Kiedy ziemia głucho spadała na wieko trumny, chciałam i ja rzucić garstkę, ale przez tłum nie mogłam się przecisnąć, a ze wszystkich ust jeden wydobywał się wyraz: zabiłaś go! Słowa te jak błędne ogniki unosiły się w powietrzu, wiły się dokoła mnie, okręcały, wpadały do ser-

ca, głowy, paliły i piekły, a ja jak męczennica szalałam z rozpaczy i bólu wołając: litości! litości. W miejsce odpowiedzi usłyszałam śmiech szyderczy... spojrzałam, wychodził z ust Roberta, szkaradnie wykrzywionych żem aż zadrżała ze zgrozy i przerażenia. Potem zdało mi się że mi u ramion wyrosły skrzydła, żem wyleciała wysoko w nadziemskie swery, i lekko, swobodnie bujała jak duch oderwany od świata. Ale nagle siła nieprzeparta zaczęła mnie spychać ku ziemi, i tak znowu leciałam przez bezdenne otchłanie, aż nareszcie uczułam cały ciężar życia i ujrzałam się leżącą we własnéj sypialni. Chociaż niemoc niepokonaną czułam w saméj sobie, przytomność jednak miałam zupełną. Przerzuciłam więc oczami po sypialni. Przy głowach stał stoliczek z różnemi flaszkami i słoikami. Przy nogach siedziała Lucynka ze zwieszoną głową zajęta jakąś ręczną robotą. Na stoliku przed kanapą paliła się lampa przysłonięta umbrelką, a przy niéj siedział Franciszek i jakiś nieznajomy mężczyzna. Wlepiłam oczy w Franciszka... tak był to on, z tym samym spokojem, i szlachetnym rozumnym wyrazem twarzy. Z ręką opartą na kolanie, siedział zadumany, machinalnie przewracając leżącą przed nim książkę. Jak mnie widok jego rozradował, jak lubem szczęściem przepełniło się całe moje serce, tego nie umiem opowiedzieć. Czułam tylko że go kocham tak głęboką i niezmienną miłością, o jakiéj dotąd nie miałam nawet pojęcia. Zamknęłam więc oczy i w myśli odmówiłam dziękczynną modlitwę, za ocalenie tego, którego życie droższe mi było nad własne. Niemogąc jednak pojąć, co obecność dwóch mężczyzn znaczy w moim pokoju, szczególniéj owego nieznajomego, odezwałam się cichym szeptem:

— „Lucynko... moje dziecko...,poproś Marji...“

Natychmiast zerwała się Lucynka rzucając robotę na ziemię, ale jednocześnie posunął się i Franciszek, do którego nie mogąc powstrzymać wzruszenia z wielkiem wysileniem wyciągnęłam rękę. Ujął ją drżącą prawicą, przycisnął do ust, a ja wyszeptałam:

— „Dziękuję... za wszystko dobro... dziękuję...“

Wtenczas przysunął się ów nieznajomy, i zbadawszy tentno pulsu, rzekł:

— „Gorączka zupełnie znikła, osłabienie wielkie, ale za życie ręczyć mogę. Proszę tylko o spokojność.

Był to doktór, przywieziony przez stryja z Paryża i już dzień trzeci nieodstępujący mnie na chwilę. Stryj znajdował się wówczas u Marji na dole, zobaczyłam go wkrótce i poczciwą moją gospodynię, biegnącą cwałem, bo Lucynka natychmiast ich zawiadomiła o mojem przebudzeniu się z uśpienia gorączkowego. Marja powitała mnie głośnym płaczem, stryj z radośnemi oznakami prawdziwéj miłości. Tyle naraz szczęścia i dowodów życzliwości do łez mnie rozrzewniły. Czyż mogłam się spodziewać takiéj łaski Bożéj, i uczucia opromieniającego całą moją duszę?

Ulegając woli doktora witania i pytania wprędce ucichły. Wtenczas całując stryja w rękę, poprosiłam go aby pozwolił Franciszkowi czuwać daléj nademną. Zacny przyjaciel prawie mnie od téj chwili nieodstępował, a ja patrząc na niego, zdawałam się czytać w głębi jego duszy najtajniejsze myśli. Wyzdrowienie postępowało szybko, w tydzień już przechadzałam się po pokoju, a gdym pierwszy raz spojrzała w lustro przestraszyłam się sama siebie, tak wychudłam, zmizerniałam i w cerze przyżułkłam. Dawniéj powiadano żem była ładną, pełną ponętnego wdzięku i szczególniéj pięknych oczu. Dziś został tylko ślad dawnéj urody, jak dalekie echo głos ludzki powtarzające.

— „Czyż mnie teraz zechce Franciszek?“ mówiłam w myśli tak upokorzona w jego opinji i zmieniona do niepoznania? „Czyby Bóg chciał mnie ukarać pogardą tego, którego ukochałam całą moją duszą? Teraz więc nadeszła chwila spełnienia zamiaru poświęcania się Bogu i zamknięcia w murach klasztoru.“

Myślą tą zaprzątnięta, o wszystkiem innem starałam się zapomnieć, ale napróżno. O Franciszku marzyłam ciągle, a co do Roberta, to nawet imienia jego nie mogłam bez wstrętu pomyśleć. Siła jednak woli nie opuszczała mnie, i z podwójną pielegnowałam ją mocą. Nie przeczuwając że dramat mego życia prędzéj się rozwiąże jak myślałam, przyjmowałam Franciszka z dawną uprzejmością i swobodą, tylko żegnałam go tajemnie zawsze z większym jak dawniéj żalem a nawet ze smutkiem dotąd niedoświadczanym. Raz jednak, kiedym już tak w siły urosła, żem mogła wysłuchać opowiadania dalszych wypadków, po owym nieszczęśliwym wystrzale z rewolweru przez Roberta dokonanym, na szczęście chybnym i wymierzonym w szale obłąkania i odurzenia trunkiem, Franciszek nagle milknąc spojrzał na mnie wymownie, i rzekł:

— „Już upływa miasiąc od ostatniéj naszéj rozmowy, w któréj przedstawiłem moje uczucia i pragnienie serca. Czyż więc od tego czasu w postanowieniu pani nie zaszła odmiana...“

Zmięszałam się, do zapytania podobnego zupełnie nie byłam przygotowana. Po chwili jednak choć zarumieniona spojrzałam na niego z uczuciem wdzięczności i zapytałam:

— „Jakto, więc nie porzuciłeś zamiaru zaślubienia mnie po tem wszystkiem, co się stało i zmianach jakie zaszły w całéj méj osobie? Spojrzyj panie Franciszku, czyż to ta sama Magdalena którą obdarzyłeś tak zacną i bezinteresowną przyjaźnią?

— „Pokochałem cię panno Magdaleno“ odrzekł Franciszek ujmując mnie za rękę — „nie dla twéj urody, ale zacnych, szlachetnych przymiotów twojego serca i duszy. Miłość moja ma trwalszą podstawę, któréj czas nie niszczy ale umacnia. Jeżeli jéj wierzysz, oto moja ręka która nie zdradzi cię nigdy, i zawsze będzie godną nieść ci wsparcie, opiekę i pomoc. Nie dam ci szczęścia kupowanego złotem, ale dam ci miłość moją i nieograniczone poświęcenie dla twojego dobra. Każda myśl moja będzie dla ciebie, a nawet w modlitwie siebie zapomnę, ciebie zawsze na pierwszem stawiając miejscu. Są to wprawdzie ofiary i przyrzeczenia, przez świat uważane za zdawkową zupełnie monetę, ale ich tylko jednych szczerze wykonanych, nie kupisz za żadne skarby w świecie. Jeżeli więc wierzysz mi panno Magdaleno...“

— „Wierzę... wierzę... szepnęłam rozrzewniona— i wdzięczna jestem Bogu za ofiarę twego serca panie Franciszku. Przed miesiącem w obłąkaniu mojem, odmówną udzieliłam ci odpowiedź, bo myśli moje były jeszcze przymglone, wspomnieniami niegodnemi

ciebie, dziś patrzę na świat jasno, czysto, a ze wstrętem odwracam oczy od przeszłości. Taka tylko godna byłam ciebie, i taką znajdziesz mnie w każdéj chwili życia swego.

Po téj rozmowie zaraz zawiadomiliśmy stryja o naszem postanowieniu. Zacny mój opiekun ucieszył się niewymownie i ze łzami w oczach klęczących pokornie u stóp swoich pobłogosławił. Takie były nasze zaręczyny, przygotowani więc do skromnego życia akt weselny postanowiliśmy odbyć w naszym małym folwarczku w gronie jedynie rodzinnem, to jest stryja, Ludwiki z Robertem i przyjaciół poczciwéj Marji. Wybór taki osób był najwłaściwszym, bo Marją mogłam uważać niejako za swatkę, a dla Roberta nie miałam najmniejszéj niechęci, ale przeciwnie litość i współczucie. Cóż więc mogło tamować jego obecność w dniu tak dla nas uroczystym?

Opowiedziano mi bowiem, że gdy Robert zupełnie od trunku odurzony, w uniesieniu gniewnem, wydobył z kieszeni rewolwer i wystrzelił do Franciszka, w téj saméj chwili nagle oprzytomniał, a sądząc że go zabił, rzucił się ku niemu z największą rozpaczą. Po wyjaśnieniu rzeczy i domyśleniu się mojéj obecności, z krzyku i uderzenia o drzwi, wszyscy pobiegli do mieszkania i znaleźli mnie martwą leżącą na ziemi. W oznakach rozpaczy, Robert nie ustawał, nazywał siebie nędznikiem, przepraszał Franciszka zalewając się łzami i natychmiast pojechał do Paryża z towarzyszami dla sprowadzenia doktora i zawiadomienia stryja o zaszłem nieszczęściu. Trzy dni byłam nieprzytomną, Robert nieopuszczał folwarku i dopiero razem z powrotem moim do życia udał się w drogę do Paryża, lękając się aby przytomnością swoją złego nie wywarł wpływu na moje wyzdrowienie.

Był to człowiek z najlepszem sercem, ale słaby duchem nic nie mający w sobie prawdziwie mężkiego. Wrażliwy łatwo ulegający wszelkim wpływom, żył zawsze pod działaniem wypadku w jakim go postawiły okoliczności. Od niego zależało wszystko, dziś żałujący jutro popadał w te same błędy, i znowu gniewał się sam na siebie, a za chwilę w nowe wpadał niedorzeczności. Mnie pokochał z całą potęgą swéj słabości, byłby się rozwiódł albo uciekł od Ludwiki, gdybym go do tego jednem słowem była zachęciła, ale z pewnością na dzień drugi byłby żałował swego czynu, i znowu uciekł odemnie, aby u nóg Ludwiki błagać przebaczenia. Dla niéj był jednak niezmiennym, to jest płochym, unikającym i znowu wracającym z oznakami największéj czułości. Dobra Ludwika wszystko to znosiła z anielską dobrocią, czasem martwiła się, nawet płakała, ale żałującego przyjmowała z radością i rzeczywiście była szczęśliwą. Byli oni stworzeni dla siebie, ja byłabym się zagryzła i zamartwiła. Zdarzenie jednak ostatnie, tak okropnie mogące się zakończyć, wpłynęło na niego niezmiernie korzystnie. Było to jak przejście przez jaką wielką, straszną chorobę, po któréj człowiek powraca do sił przedtem mu nieznanych. Robert także stał się nagle innym człowiekiem, spoważniał, zrobił sie rozważniejszym, więcéj myślącym i zastanawiającym i co najważniejsza, poznawszy wszystkie szczegóły mnie dotyczące, postanowił wziąść się do jakiéj pracy, a oderwać raz na zawsze od próżniaczego życia które go ledwo na drogę zbrodni niepopchnęło. Nie śmiał się jednak zobaczyć ze mną, wstyd więc był dobrą wróżbą poprawy. Na kilka dni przed ślubem, Franciszek z większą powagą niż zwykle, oświadczył mi że jest posłem od Roberta, upraszającym o możność błagania mnie o przebaczenie. Uśmiechnęłam się do Franciszka patrząc na jego małe zakłopotanie i wyciągając rękę rzekłam:

— „I owszem, proś go panie Franciszku. Szczęśliwa już dzisiaj czekającą mnie przyszłością, chciałabym wszystkie serca ludzkie zjednać dla siebie, dlaczegóżbym więc miała wyłączać od tego Roberta? Proś go więc panie Franciszku i powiedz, że narzeczona twoja zapomniała już zupełnie przeszłości, a pamięta tylko że jest mężem drogiéj siostry kochanéj Ludwiki.“

Franciszek ucałował mi obie ręce z czułością, a gdy drzwi się otworzyły i pokazał się w nich Robert, podeszłam ku niemu mówiąc:

— „Dziękuję ci kuzynie, że niezapomniałeś o mnie w dniach poprzedzających uroczysty akt, mający mi zapewnić szczęście na całe życie. Umiem cenić twoją dobroć i uważam ją za najpiękniejszy podarunek ślubny, jakim mógłbyś mnie razem z Ludwiką obdarzyć.“

— „Przebacz, przebacz“ wyjąknął pomięszany Robert — „byłem złym, słabym i głupim, alem się upamiętał. Gdy poznasz żem się odmienił, to wtenczas pomyśl kuzynko, że to twoje dzieło. Zbyt straszną odebrałem naukę, abym ją kiedykolwiek mógł zapomnieć.“

Późniéj rozmawialiśmy o Ludwice, o przygotowaniach ślubnych, o naszem przyszłem urządzeniu, a gdy Robert pożegnał nas uczułam pewną ulgę, nawet radość niejaką, jak człowiek snem niemiłym dręczony, gdy się przekona że to tylko marzenie. Za nadto wiele cierpiałam aby pierwsze spotkanie z Robertem, nie miało mi zrobić przykrości.

Akt weselny jak ułożyliśmy, odbył się w naszem małem rodzinnem kółku. Ludwika spłakała się kiedy ubraną w białą sukienkę z welonem i wianeczkiem z mirtu, oddała mnie w ręce Franciszka. Stryj cieszył się nazywając mnie zawsze swoją ukochaną Magdaleną, a kiedy wróciliśmy od ślubu pierwsze słowa Marji było zapytanie:

— „A co panienko, czy nie prawda że nie ma na świecie urodziwszego jak pan Franciszek?“

— „Prawda moja przyjaciołko, odrzekłam — ani lepszego.“

Jak się Robert zachowywał podczas wesela nie pamiętam, zajęta jedynie Franciszkiem, mało na niego dawałam baczenia.

Dalszego opisu życia mego nie spodziewajcie się, zamknę go w dwóch słowach, jestem szczęśliwą, i cóż więcéj życzyć sobie można? Wspomnienie Roberta zakłóca czasami moje myśli, ale jest to pytanie, jakim sposobem mogłam go kiedyś ukochać?

Jakże Bóg dobry, że mi dał dosyć siły do zwalczenia obłąkanego serca, i że mi wskazał świętość obowiązku szanowania własnéj godności.

Kronika literacka.

Muzyka pod względem estetycznym i lekarskim, przez Juljana Stupnickiego. Lwów, nakładem autora, 1865. str. 53, w Warszawie w księgarni Okońskiego.

Autor przypisując dziełko niniejsze towarzystwu muzycznemu we Lwowie, wziął sobie za zadanie poznajomić czytelników z dobroczynnemi skutkami, jakie wywiera muzyka na człowieka pod względem estetycznym i lekarskim. Niepodobna zapuszczać się w krytyczne szczegóły — powiemy tylko, że o ile zakres tego dziełka pozwalał, autor wywiązał się najzupełniéj ze swego zadania; powiadamy „najzupełniéj“, ponieważ na pięcdziesięciu i kilku stronicach więcéj materjału rozmieścić nie można. Na każdéj niemal widać skrzętność autora, usiłującego zwięźle i jasno wyświecić tajemnicze skutki muzyki na duchowy ustrój człowieka. Drogę miał trudną przed sobą, już dla saméj obfitości materjału, jaki się nastręczał przy tłumaczeniu tylolicznych objawów muzyki. Autor nie tai się bynajmniéj z tem w jaki sposób złożył swe dziełko: czerpał (jak sam powiada) „z najlepszych źródeł“. Imiona takie jak Herodot Platon i Cycero (u starożytnych), Lombe, Szylling, Mesmer, Szubert, Herder, Szyller i wielu innych (z nowszych) świadczą o szczęśliwym wyborze źródeł. Obce—to imiona... ale cóż robić; niemasz krajowych, trzeba więc starać się zużytkować obce. Praca taka byle sumienna i jawna, ma nieocenioną wartość — a nic zbawienniejszego dla piśmiennictwa jak iść ręka w rękę za postępem i rozwojem całego świata. Nieco rychléj a bylibyśmy dzisiaj nie potrzebowali zapożyczać się w niektórych umiejętnościach u zagranicy. W każdym razie — lepiéj późno, aniżeli wcale.

Co do treści — autor podzielił rzecz na cztery działy. W pierwszym mówi o muzyce pod względem estetycznym. Dowodzi że muzyka jest sztuką, któréj zadaniem jest wieczystą ideję piękności w czasie przedstawić, i że jest zarazem *najduchowniejszą* sztuką, a jako wyobrazicielka uczuć, najbliżéj jest spokrewniona z poezją liryczną i wymową. Przedmiota, które autor w tym dziale szczegółowo przechodzi, są: *rytm, tok, ton, melodja i harmonja* muzyki.

W drugim rozdziale stara się wyświecić prawidła fizjologicznego działania brzmień i tonów. Wykazuje, że tony, śpiew i muzyka są mową uczucia i popędów, tak jak brzmienia artykułowane mową pojęć, idej i wyobrażeń. Tony (powiada autor) wywołują i uspakajają wzburzenia i namiętności, wzmacniają dzielność, sprowadzają postanowienia i przyspieszają ich wykonanie, albo przeciwnie niweczą je podług okoliczności. Następnie, podaje autor w krótkości szczegółowe rodzaje muzyki, jak muzyki kościelnéj, oratorjów, opery, muzyki salonowéj (symfonji, koncertu, sonaty, fantazji, serenady, pieśni) i muzyki ludowéj.

Trzeci rozdział zawiera w sobie myśl nie dosyć rozwiniętą: autor zamierzał (jak się domyślamy) wykazać i udowodnić przykładami, że pewien stopień drażnienia słuchu zdaje się być potrzebnym do utrzymania czynności tak umysłowych jak i cielesnych. Nie skorzy do zarzutów powiemy jednakże, że rozdział ten zupełnie powinien być pominięty albo dokładniéj uzasadniony. Końca tego rozdziału wcale nie zrozumieliśmy.

W ostatniéj, czwartéj części zamieścił autor dowody i sposoby zastosowania muzyki przy leczeniu chorób. „Lekarzem muzykalnym“ jest zdaniem autora ten, kto siłę i wpływ muzyki na człowieka poznał, i wiedziony powodami uzasadnionemi używa jéj w pewnych chorobach i okolicznościach. Sztuka muzyczna (powiada daléj) działa tak widocznię na nerwy, że krążenie krwi i transpiracja przez nią do właściwego porządku sprowadzone zostają, i że użyta jako środek lekarski w chorobach umysłowych i cielesnych zbawienne skutki mieć może.

Tyle o treści. Wartość wewnętrzna tego dziełka ma dużo ponętnych stron, po największéj części bardzo użytecznych. Treść w szczegółach jest za drobiazgową, w ogółach za skąpą. Zarys dziełka — zdaniem naszem nad podziw szczęśliwy — mógłby posłużyć kiedyś za plan do dzieła szerokich rozmiarów. W końcu jeszcze jedna uwaga: dla czego autor nie *przełożył* na język polski ustępów z poetów i prozajików niemieckich, któremi przeplata dla urozmaicenia text polski?

MIŁOŚĆ.

Narcyz pokochał lilję, lilja go kochała,
On, kochał i zapomniał... ona pamiętała,
A z wiosną na mogile, kwiatek wyrósł mleczny,
Smutny jak lilji miłość, jak jéj miłość wieczny.

Narcyz, szedł raz tą drogą, stanął zadziwiony,
„Jakiż wiatr cię tu kwiatku, przyniósł w puste strony?“
I chciał zerwać kwiat z grobu, krew liście oblała,
On kochał, by zapomnieć, ona pamiętała...

Nietulisko.

Liljana.

Pogadanka Tygodniowa.

Otóż znowu kilka nowych zapowiedzi na pisma perjodyczne różnéj treści i dążności wychodzić mające od nowego roku. Pomiędzy niemi, mieści się *Pamiętnik naukowy*, wyłącznie poświęcony nauce, któréj i samo łaknienie już zaszczyt przynosi człowiekowi. Zakres jego obszerny, bo i wiedza ludzka nie w ciasnych zamknięta szrankach.

Zorza pismo niedzielne dla ludu miejskiego i wiejskiego, ma nam zastąpić *Czytelnię niedzielną* a wspomagać *Kmiotka* w bycie swym niezmiernie zachwianego, już to w części z własnéj winy, a przeważnie z obojętności ogółu dla publikacji podobnego rodzaju. *O Przeglądzie tygodniowym życia społecznego literatury i sztuk pięknych*, później dam obszerniejszą wiadomość. *Goniec* leśny i wiejski, ma służyć gospodarzom przez perjodyczną literaturę niewiele wspieranym. Inne jak *Kłosy*, *Bazar*, *Bluszcz*, *Rodzina*, *Gazeta muzyczna*, dały się dostatecznie poznać, w wydawnictwie od pół roku lub kwartału rozpoczętem.

Za przykładem stolicy, w Lublinie zapowiedziano wychodzenie *Kurjera Lubelskiego*, a Kurjer Codzienny donosi o podobnem piśmie mającem wychodzić w Kielcach.

Piśmiennictwo zatem perjodyczne doszło u nas do rozwoju dotąd jeszcze niepraktykowanego, zachodzi więc pytanie, czy rozwój ten jest naturalny, czy więcéj sztuczny czyli spekulacyjny?

W zwyczajnym biegu rzeczy, każdy przemysł, a więc i literacki, wzmaga się w miarę powiększania ludności i żądań w pewnym obranym kierunku. Dawniéj np. nieznano dorożek, dziś krąży ich około tysiąca po ulicach Warszawy.

Przed kilkunastu laty zaprowadzone omnibusy nie utrzymały się i zbankrutowały, dziś przeszło sto rozwozi Warszawiaków w różnych kierunkach z pożytkiem dla siebie i miasta. Dawniéj jeden teatr nie mógł się utrzymać, i żył jedynie poświęceniem prawdziwych miłośników sztuki, dziś mamy dwa zawsze przepełnione, a z pewnością jeżeli nie drugie dwa, to jeden jeszcze niemal jest koniecznie potrzebny. Dawniéj kramarze podkościelni przedażą książek od nabożeństwa i obrazków fabryki Częstochowskiéj, utrzymywali cały ruch księgarski: jedna Gazeta księdza Łuskiny, na bibulastym dwa razy na tydzień wydawana papierze, aż nadte wystarczała ciekawości publicznéj, dziś mamy kilkadziesiąt w kraju księgarni, i kilka pism czasowych politycznych codziennych, które prasy kilkunastu drukarni zaledwie mogą obsłużyć, a był czas że i księgarze i gazeciarze na biedę wcale nie narzekali. Takie jednak wzrastanie liczby dorożek, omnibusów, księgarni, teatru i gazet, następowało zwolna, nieznacznie, i jak dawniéj nikt nie pomyślał nawet o wydawaniu gazety dzisiejszego formatu dla braku i prenumeratorów i czytelników, tak i dziś zaprowadzający np. kolej żelazną po mieście, omnibusy na wzór Paryża lub Londynu po wszystkich zaułkach Warszawy, księgarnię z wydawnictwami różnych narodowości, teatr dla kilkunastu tysięcy widzów, wreszcie Gazetę wielkości angielskiego Timesa naraziłby się na niezawodną stratę.

Literatura perjodyczna, na tych samych zupełnie rozwija się zasadach, i pisma zwykle przybywają w miarę dojrzewania różnych potrzeb społecznych lub zaniedbywania się już wychodzących. Rozwój taki nazywamy naturalnym i korzystnym dla powszechnego dobra, bo wydawcy śledząc krążącą i wyrabiającą się myśl, idą jéj w pomoc, upadającą podtrzymują, a podnoszeniem nowéj piśmiennictwu nadają coraz większą pełność, podnosząc na stanowisko odpowiednie jéj godności. Wtenczas w piśmiennictwie perjodycznem tworzy się cudowna harmonja, każde pismo idzie w kierunku przez siebie wytkniętym, staje się rzeczywiście nowem, bo nowéj służy myśli, dawną wspomaga nowemi dotąd nieużytemi siłami, wyrabia sobie nowe kółko czytelników, wpływając korzystnie na ich ciągłe powiększanie się a tem samem na własne dobro i na dobro kraju. Barwą pism tak powstających jest oryginalność, każde ma myśl przewodnią któréj służy, zaleca się nowością przez inne nie przedstawioną, i w niczem a przynajmniéj bardzo mało jest jedno drugiemu podobne. Wydawca bowiem zakładający pismo, nie chwyta myśli drugiego, ale tworzy nową, wyśledzoną przez siebie w społeczności dążącéj do postępu.

W rozwoju sztucznym piśmiennictwa czyli spekulacyjnym, wydawcy zwykle nie zadają sobie trudu w śledzeniu potrzeb społecznych, tylko powiadają; trzeba panu X· obciąć troszkę rękawów, panu Y przystrzydz skrzydełek, panu XX. podstawić stołeczka, a pana YY. obchudzić bo zanadto bryka i t. p. Pod takiem godłem powstające pisma trzymając się jednéj myśli, nadają sobie tylko odmienny pozór, które zaś ze świeżo powstałych i mających wychodzić, należą do pierwszéj a które do drugiéj kategorji, sąd nie do mnie należy. Przedstawiłem tylko rozumowanie nie

zupełnie wprawdzie rozwiniętą, ale zdaje mi się że opartą na dość słusznych zasadach.

W każdym razie co do mnie, z tak nagłego rozwoju piśmiennictwa perjodycznego, cieszę się niewymownie choćby jeszcze dziesięć tygodników, lub roczników literackich miało powstać z modami. W zapasach literackich, może niektóre wielkości zejdą na karzełków, karzełki wyrosną w olbrzymów, spekulantom może na prawdę padną poły u surdutów a ze skrzydełek posypią się podskubane piórka, w następstwie jednak każdy pozna własne siły, a choć niektórzy z nas redaktorów z salonów literackich przejdziemy do kuchni lub przedpokojów, to i to dobrze, niech każdy pilnuje tego do czego go Bóg stworzył. Kto nie może być sokołem, niech będzie wołem aby tylko nie żółwiem lub gawronem. Co do Kurjera Lubelskiego i pisma w Kielcach projektowanego, temi już bezwarunkowo cieszyć się należy. Widać bowiem że jest jakaś nadzieja powodzenia, oparta koniecznie na odpowiedniem usposobieniu miejscowości, skoro myśl wydawnictwa powstała. Niech tylko redakcje zabiorą się do pracy, szczerze i gorliwie a poczciwie, niech dla zysków nie poświęcają własnych przekonań, niech dalecy od pochlebstwa nie żałują serdecznych słów prawdy z miłością wypowiedzianych, niech wreszcie niezrażają się ani trudnościami, ani przeszkodami, a przekonany jestem, że pomału i ocenieni zostaną jak należy i wynagrodzeni coraz więcéj rozszerzającem się kółkiem czytelników. Myśl ich jako nowa, dotąd przez nikogo nie podniesiona, zapowiadająca nową przyszłość piśmiennictwu, zasługuje ze wszechmiar na poparcie ludzi dobréj woli.

Otóż i koniec pogadanki, na osłodzenie któréj, donoszę Wam, że panna Helena Bartkiewicz, otworzyła zakład fotograficzny przy ulicy Senatorskiéj i wykonywa portrety z zupełnem zadowoleniem najbardziéj wymagających. Jest to pierwsze u nas podobne wystąpienie, prawdziwa niespodzianka, pomysłowi zatem przyklaskujemy, a właścicielce zakładu życzemy jak najlepszego powodzenia.

BIELANY POD WARSZAWĄ.

Jak Bielany pod Krakowem, winny swój początek pobożności prywatnéj, tak znajdujące się pod Warszawą uczuciu religijnemu króla Władysława IV. W rozmaitych bowiem kłopotach, przez jakie przechodził w zewnętrznych stosunkach, nie mało mu dokuczała sprawa ożenienia i chęć zaprowadzenia cła morskiego które skarbowi mogło przynosić rocznie około dwóch miljonów złotych. Przyrzekł więc że skoro po wyprawach wojennych zawrze pokój, i kwestją małżeństwa i cła załatwi z zadowoleniem, w miejscu zatem przez siebie bardzo ulubionem zwanem Polkową górą osadzi pustelników reguły, św. Romualda i nietylko wymuruje klasztor, ale i uposaży ich stosownym zapisem.

Na przyszłą małżonkę Władysław miał naprzód na myśli księżniczkę Reńską, że jednak ta była wyznania augsburgskiego, miał więc wielkie trudności w doprowadzeniu tego do skutku. Zamiar ożenienia się z rodaczką spełzł także na niczem, bo Stany lękały się zbytecznego wyniesienia rodziny spokrewnionéj przez małżeństwo z panującym. Pozostała zatem Cecylja Renata córka Ferdynanda II cesarza, z którą jakkolwiek Władysław nie miał ochoty żenić się, jednak wciągnięty zręcznością wysłańca austryjackiego wszedł z nim w tajemne układy. Gdy rzecz całą już ułożono, Władysław zwołał w Marcu r. 1637 sejm do Warszawy nie wspominając jednak nic w uniwersałach nakazujących sejmiki, o projektowanem małżeństwie z Rakuzanką. Dopiero gdy poseł wyprawiony do Niemiec oświadczył Stanom, że księżniczka Reńska odmówiła stanowczo zmiany religji, wówczas król zawiadomił zgromadzenie, że postanowił stanowczo ożenić się z Cecylją Renatą i że w tym celu zawartą została stosowna umowa. Oporu ze strony Stanów nie brakowało, bo powinowactwa takiego ogólnie lękano się, ale gdy przeszkodzić mu nie zdołano, zezwolono w końcu na wszystko, a nawet i na wyprawienie natychmiastowego do Wiednia poselstwa.

W orszaku posłów znajdował się i Jan Kazimierz brat królewski, ale gdy przybyli do celu swéj podróży już cesarz Ferdynand II nie żył a wstąpił po nim Ferdynand III syn zmarłego monarchy. Nowy cesarz w sprawie małżeństwa z siostrą swą Cecylją, ułożone warunki uznał za nieobowiązujące go, skutkiem czego z wielkiem niezadowoleniem Władysława IV nowe przedstawiono żądania a sama sprawa przewlekła się do jesieni, tak że dopiero we Wrześniu r. 1637 Cecylja zjechała do Warszawy, w któréj odbył się ślub i koronacja.

Co do cła morskiego, temu głównie oparł się Gdańsk ale zobaczywszy nieodwołalne postanowienie Władysława, ofiarował jako ryczałtową spłatę 800,000 złotych. Sejm w r. 1638 oświadczył się za cłem i wyprawił nawet komisją do załatwienia wszystkiego na miejscu.

Ztąd wynikły niesnaski, a gdy pomimo tego w porcie cło według ustanowienia zaczęto wybierać, podburzona Szwecja z Danją założyła protestacją i wyprawiła flotę, która kilka wojennych okrętów króla Władysława pochwyciła. Sprawa zatem o cło poszła w odwłokę, a gdy nie znaleziono środków do wykonania postanowień, sejm w końcu oświadczył się przeciw cłom morskim i król od wniosku swego odstąpił.

Ale nie natem kończyły się różne kłopoty królewskie. Ożenienie z księżną Austryjacką nietylko przez wielu z panów niechętnie zostało przyjęte, ale wywołało największe niezadowolenie Anglji i Francji. Gdy więc Jan Kszimierz brat króla w r. 1638 podróżując do Hiszpanji, po drodze wysiadł na brzegu francuzkim, został przez miejscowe władze uwięziony, pod pozorem że mając objąć dowództwo w Hiszpanji, przepatrywał brzegi francuzkie, gdzie najlepiéj z wojskiem wylądować. Areszt trwał dwa lata i żadne wstawienia nic nie pomogły, ani Rzeczypospolitéj Weneckiéj ani Genueńskiéj.

Król zatem Władysław wybrnąwszy jako tako z dręczących go kłopotów, przystąpił wreszcie do spełnienia pobożnego ślubu.

Wprowadzenie zakonników, według ówczasowych opisów z wielką odbylo się uroczystością.

Jan Kazimierz wstąpiwszy na tron po Władysławie IV, odziedziczył także przywiązanie jego do miejsca szczególniéj mu upodobanego. Przyłożył się więc

(Dodatek.)

nietylko do wymurowania kościoła i pomnożenia funduszów, ale nadto kazał wystawić dla siebie oddzielny dom, który zwano domem na królewskiéj górze. Według inwentarza z r. 1733, dom ten obwiedziony był murem wysokim. Do wejścia służyła brama i furtka nabite gwoździami i obwarowane żelaznemi sztabami. W podwórzu znajdowała się studnia cembrowana z kołem i wałem na którą wznosiła się wieżyczka kryta dachówką. Sam budynek pański był drewniany wystawiony na podmurowaniu, i od przodu miał ganek z wieżyczką opartą na czterech kamiennych słupkach. W środku domu rozdzielonym obszerną sienią, w każdéj połowie znajdowało się po trzy izby, jednym przedpokoju i jednym gabinecie. Z dołu prowadziły wschody na ganek, dający widok na Wisłę. Po prawéj stronie domu stała imurowana oficyna, przy niéj znajdował się skarbiec z dwoma komorami i sień; po lewéj zaś murowana huta z kilkoma komorami na składy szkła. Stajnie były z muru pruskiego, a browar murowany.

Za przykładem króla możni panowie, wznosili w okolicy domu królewskiego, małe letnie mieszkania, proste lecz pełne niewymuszonego wdzięku, umieszczając na nich tarcze z herbami swego rodu. Król Michał Korybut przeznaczył także znaczne fundusze na dokończenie kościoła, i kazał w nim zachować serce swoje.

Z gazety z roku 1720, donoszącéj o częstem zjeżdżaniu króla Augusta II na łowy, autorzy opisu Starożytnéj Polski, wnieśli, że na Bielanach musiał się kiedyś znajdować zwierzyniec Zaprzeczyć temu niepodobna, bo nie ma na to żadnych pewnych dowodów, ale znając lesistość okolicy dziś jeszcze w tym stanie znajdującéj się, wznosić można na pewno, że choć nie było zwierzyńca, ale lasom nie brakło, dzikiéj i grubéj zwierzyny i ona to widać tak nęciła Augusta II do Bielan.

Ponieważ zabudowania wystawione przez Jana Kazimierza, zaczęły się bardzo niszczyć i podtrzymanie całego budynku wymagałoby wielkich nakładów, król więc łącząc własny interes z pobożnością, na uposażenie klasztoru darował budynki idące w ruinę, i z materjału z nich rozebranego, wystawiono zabudowania gospodarskie.

Na odwiedzanie Bielan w dzień Zielonych Świątek głównie wpłynął zwyczaj, utrwalony odpustem jaki w dniu tym przypada. W gazecie z dnia 19 Maja 1765 roku, zwanéj Wiadomości Warszawskie, znajduje się następujący opis zabawy w dniu tym na Bielanach odbytéj.

Z rozkazu, powiada Gazeta J. K. M. na Bielanach był bal tak wspaniały, jakiego tu nie pamiętają. Wschody od Wisły na górę i różne bramy, teatra i machiny nowo wystawione, rzęsistym ogniem i piękną inwencją illuminowane przedziwny okazały widok. Dodał wesołości fajerwerk pięknie zapalony. Nie tylko dla państwa ale i dla pospólstwa, wszystkiego hojnie dodawano. Dla chłopów też rozrywki i premja były wyznaczone. Król w licznéj asystencji Wisłą przybył i od miasta na Wiśle zgromadzonego, w ubranych pięknie łodziach był witany i ztamtąd aż po północy do zamku powrócił...

Nie z mniejszą świetnością i dziś bywają obchodzone Bielany, a dawniéj w Warszawie znać było pustki i po placach zaciągano sikawki, gdyż bez przesady można powiedzieć, że dwie trzecie mieszkańców i lądem i wodą ciągnęło na Bielany.

O UBIORACH

Korrespondencja z Paryża.

Z każdym dniem Paryż zaludnia się coraz bardziéj mówimy tu o Bulwarach wyludnionych przez czas jakiś z elegantek w skutek panującéj epidemji. W kapeluszach zimowych pojawiła się nowość, jest to kapelusz zwany *pamela*, z podciętemi bokami. Rondo kończy się równo z uchem, przy twarzy idą same tylko wstążki przeznaczone do wiązania. Łatwo pojąć że taki kapelusz może tylko służyć dla młodych panien i mężatek, starszym osobom nie przypadłby wcale do twarzy. Jak w ogólności wszystkie tegoroczne kapelusze tak i Pamela, nie wiele ma ozdób. Rulonik aksamitny nad czołem, przybrany łańcuszkiem złotym i kameą stanowi zwykle podpięcie. Z wierzchu małe piórko kapłonie lub inne dopełnia ubrania.

Do podwiązania kapeluszy pod brodą, bardzo w tym roku używane szarfy morowe, co bardzo ładnie i świeżo wygląda. Woalki gazowe i tiulowe powszechnie przyjęte do wyjścia na ulicę. Nawlekają je zwykle na sprężynkę i zdejmują z kapelusza w pokoju. Woalik taki czarny do kapelusza czarnego, obszyty bywa brzegiem aksamitką fijołkową, niebieską, albo *maïs*, stosownie do koloru jakim ubrany kapelusz.

W pięknym magazynie pani Mouchoux przy Ulicy Richelieu, widzieliśmy mnóstwo zimowych kapeluszy, odznaczających się prawdziwie dobrym gustem. Między niemi najwięcéj było w dwóch kolorach: czarne z białym, z fijołkowym, lub z różowym.

Podpięcie nad czołem składa się zwykle z rulonu aksamitnego albo pliski, przepiętéj łańcuszkiem srebrnym lub złotym i pszczołami, lub broszkami z kamei. Uważaliśmy też kapelusze podpięte srebrnym diademem, wyrzynanym *à jour* w grecki deseń. Inne znów czarne i fijołkowe aksamitne ubrane były z wierzchu medaljonami z koronki *kluni*. Śliczny był też kapelusz z pluszu fryzowanego białego, w fijołkowe centki, podpięty fijołkowym aksamitem.

Czepeczki strojniejsze ubrane bywają zwykle aksamitką pąsową, niebieską lub karmazynową. Pomiędzy rozetki z aksamitki wpinają się pszczoły, gałązki ostu albo inne ozdoby srebrne. Czepeczki negliżowe robią zwykle muszlinowe w formie siatek, garnirunek składa się z ruszy nad czołem przepinanéj kokardkami ze wstążki lub aksamitki. Rusza może być z tiulu albo gipiury. Robią też czepeczki na rano z białego kaszmiru, rusza przy nich kaszmirowa naszyta brzegiem czarną koroneczką.

Czytelniczkom naszym któreby miały przybyć do Paryża zalecamy ten magazyn, odznaczający się nie tylko doborem tak kapeluszy jak i ubiorków na głowę, lecz obok tego, ceną bardzo dostępną jak na Paryż.

Okrywki i paletociki krótkie, ciągle się jeszcze utrzymują. Cała odmiana w tegorocznych polega w różnorodności wyrobu i na tem, że mają guziki wielkie, starannie rzeźbione, bądź z konchy perłowéj, bądź z oksydowanego srebra albo z lawy. Kieszenie po bokach zazwyczaj bywają kwadratowe i dosyć wielkie.

Do najmodniejszych należą paletociki aksamitne przerabiane w drobniuchne kropki, białe, szafirowe, fijołkowe lub skabjozowe, kropki te nie są większe od łepka špilki, dawane bardzo gęsto.

Uważaliśmy taki paletocik czarny, nakrapiany biało, obszyty frendzlą jedwabną w tych dwóch kolorach. Z tyłu w miejscu gdzie się stan kończy, zdobiły go dwa wielkie guziki czarne szmuklerskie, haftowane białym jedwabiem, po bokach spinał się na takież guziki. Na przodach szły dwie wielkie kwadratowe kieszenie.

Noszą także bardzo paletociki gładkie aksamitne czarne, przybrane gładką szmuklerską torsadką, i wielkiemi guzikami hebanowemi, z wyrzniętą kameą.

Paletociki wełniane z Brystolu albo *velours*, najmodniejsze w kolorze szafirowym (bleu de Sévre), fijołkowym, i dziko orzechowym (mouton). Robią je zwykle na pół przystające do figury, szamerowane pletnią, przybrane sznurem i kwastami. Na niektórych frendzla oznacza pelerynkę z tyłu. Wiele z nich obszywają wązko barankiem krymskim.

Do fantastycznych tkanin wymyślonych w tym roku na paletoty, należy wyrób kolorowy wełniany, w białe centki nierównéj wielkości, który wygląda zupełnie jak przysypany śniegiem. Z tąd pochodzi jego nazwisko *flocon de neige*. Do pokoju noszą krótkie paletociki a raczéj kaftaniki Bretońskie, z białego moltonu, obszyte kolorowym jedwabnym sznurem, lub galonem szmuklerskim przybrane wielkiemi guzikami.

Futro najmodniejsze używane do podbicia aksamitnych paletotów jest to *wydra Kanadyjska*, włos jéj niski miękki jak aksamit a kolor jasno brązowy, połyskujący.

Oprócz paletotów, używane też na wizyty aksamitne rotondy, garnirowane szeroką gipiurą i pasmanterją. Uważaliśmy niektóre przyfałdowane na trzy wielkie fałdy do osobnego karczka. Karczek ten cały naszyty bywa bogato pasmanterją.

Do okrycia na teatr powszechnie przyjęte burnusy Arabskie w pasy, przybrane sznurem w odpowiednich kolorach, i frendzlą, albo kwastami z angory. Kapturek od takiego burnusa, zakłada się zwykle na głowę.

Kapturki tegoroczne do wieczornego ubrania mają wszystkie jedną formę: wycięte są w ząb špiczasty nad czołem, zakończone okrągłą pelerynką, dla zabezpieczenia ramion i piersi od zimna, ogarnirowane do koła ruszką. Strojniejsze robią z czarnéj materji, lub haftowanego kaszmiru, skromniejsze gładkie kaszmirowe, watowane w kolorach białym, pąsowym, fijołkowym lub szafirowym.

Kapturki watowane z czarnego atłasu albo mantyny do wyjścia na ulicę, mają zwykle fason kapeluszowy.

Suknie w formie *Gabrjeli* powszechnie przyjęte do mniejszego ubrania. Na rano używają ich także z tą różnicą, że nie przystają zupełnie do figury, i przyciągają się z tyłu. Widzieliśmy dwa takie negliżowe szlafroczki zasługujące na opis.

Jeden z nich czarny z tkaniny półjedwabnéj mięszanéj z wełną w pasy koloru złotego, spięty był wzdłuż na guziki czarne ze złotem. Po bokach szły wielkie kwadratowe kieszenie obszyte sznurem jedwabnym, w czarnym i złotym kolorze. Gruby sznur jedwabny z kwastami służył zamiast paska. Rękawy ścięte do łokcia dosyć wązkie, przybrane były sznurem i kwastami, na epoletach i mankiecie.

Drugi szlafroczek flanelowy w czarne i pąsowe pasy, objęty był z przodu z obu stron, plisą czarną kaszmirową. Na obu tych plisach dane były szmuklerskie guziki w dwóch odpowiednich kolorach, spięte na takież pętelki. W pasie sznur służył do związania. Mała pelerynka, obłożona czarną plisą dopełniała całości.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia szara popelinowa na takiejże saméj spódnicy, podpięta kokardami tegoż koloru. Spódnica krajana kolisto bez fałdów. Kołnierzyk płócienny.

Figura 2. Suknia zielona jedwabna, na każdym zszyciu brytów, wstawka czarna gipiurowa. U dołu naszyte festony z takiejże wstawki, ogarnirowane gipiurą. Stanik z baskiną w zęby przybrany odpowiednio, przepasany paskiem. Pasek ten powleczony wstawką gipiurową, spina się z boku na róże z materji zielonéj. Epolety ze wstawki i gipiury. Mankiety wyszyte wstawką. Kapelusz fijołkowy aksamitny, podpięty kwiatami przybrany strusiem piórem.

Ubranie dziewczynki. Sukienka *poil de chèvre* w białe i czarne paski, naszyta w zęby karmazynową wstążeczką. Paletocik popielaty wełniany, wyszyty pletnią czarną. Kapelusik kastorowy popielaty, ubrany karmazynowym aksamitem. Buciki skórkowe.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(*Dalszy ciąg.*)

Gwoździki. Kto nie był w Belgji, ani w północnych stronach Francji, gdzie gwoździki tak są ulubione jak tulipany u Holendrów, ten sobie nie wyobrazi do jakiego stopnia doskonałości, uprawa doprowadzić może ten kwiat, zalecający się wdziękiem, przyjemną wonią i rozmaitością w barwach. Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły hodowania gwoździków, powiemy tylko że się dzielą na dwie odmiany, to jest na gwoździki Flamandzkie, odznaczające się szczególną pięknością, i na gwoździki ogrodowe. Z tych ostatnich zalecamy szczególniéj gwoździk biały, ciemno-czerwony, blado-różowy, nakrapiany amarantowym, a nakoniec blado żółty z czerwoną obwódką. Żaden z tych gatunków nie mnoży się z nasienia, gdyż flance z ziarna otrzymane kwitłyby bardzo późno, i wiele między niemi byłoby pojedynczych. Ablegrowanie udaje się niekiedy, zwyczajnie jednak mnożą gwoździki, w odmienny a właściwy im sposób.

Potrzeba naciąć łodygę, do połowy grubości, zatknąć ją w ziemię w miejscu gdzie została nacięta. Gwoździki ogrodowe tym właściwsze są do tego rodzaju mnożenia, żo co rok wydają wielką liczbę odrostków przy ziemi, tuż po nad korzeniem. Każdy z tych odrostków który ma być kwitnącą łodygą, w roku następnym na pół przecięty i w adzony w ziemię; zapuszcza korzenie bez trudności. Na wiosnę można pooddzielać te nowe krzaczki od głównego, i rozdzielać je w osobne doniczki, gdzie zakwitną zaraz w pierwszym roku, a w jesieni wydadzą nowe odrostki. Skrzynka cała napełniona gwoździkami, piękny sprawia widok na balkonie i z powodu miłéj woni nadzwyczaj jest przyjemną.

Nowe rośliny do przyozdobienia balkonu. Na zakończenie rozdziału tego, zwracamy uwagę czytelnika, na kilka roślin nowych i mało upowszechnionych, które są jednak ważnym nabytkiem w ogrodnictwie. Zalecamy naprzód piękną roślinę Chińską, zwaną Dielytra spectabilis. Kwitnie ona zawczasu na wiosnę, kształt ma szczególny i pełen wdzięku, kwiat różowy bardzo delikatny nie podobny do żadnych innych. Na lato radziemy zasadzić kilka flanców nowéj rośliny, sprowadzonéj niedawno z Kaliforni, zwanéj Eucharydium Grandiflorum. Zebrawszy z niéj nasienie, trzeba je zasiać we Wrześniu, aby otrzymać flance, które przezimują w gruncie pod słomą, i zakwitną obficie w następnym roku. W zacienionych zakątkach balkonu gdzieby inne kwiaty źle kwitły, można zasadzić roślinę *Diplacus cardinalis*, i inną Diplacus grandiflorus, które się wybornie udadzą. W końcu lata możnaby jeszcze dodać dwie rośliny jednę zwaną *Ganra Lindkeimeri*, i Lobellją z czerwonym kwiatem na wysokiéj łodydze, zwana Lobelia porphyrantha.

Oryginalny pozór tych roślin, odmiennych zupełnie od bratków, lewkonji, balsaminów, astrów i gwoździków, które napotkać wszędzie można, nadaje balkonowi postać niepospolitą. Uprawa ich przytem bardzo łatwa.

(d. c. n.)

ącemi wizerunki królów polskich i 10 rycinami wypadków dziejowych. Cena na papierze welinowym za exemplarz kartonowy rs. 2 k. 35, za exemplarz broszurowany rs. 2. Wspomniemy jeszcze o dziełku Smigielskiéj: *Obrazki z życia świątobliwych i bogobojnych Polaków i Polek.* Serya I i II, z rycinami i bez rycin po k. 75 każda i o *Krótkich wiadomościach z historyi polskiéj* ozdobionych 25 wizerunkami, drzeworytami królów polskich w cenie k. 75.

Poczet panujących książąt i królów polskich od Mieczysława I, do Stan. Aug. Poniatowskiego na jednym dużym arkuszu kop. 50 (złp. 3 gr. 10). Też same porznięte i podklejone w futerale k. 75. Na nadchodzący rok nowy, w którym zwykle dzieci nasze z życzeniami występują, polecamy: *Alex. Niewiarowskiego, Zbiór powinszowań wierszem i prozą* na wszystkie uroczystości familijne, oraz wpisy do Imionników (Sztambuchów) w języku polskim k. 60, w języku polskim, francuzkim i niemieckim rs. 1.

Następnie polecamy książki dla ludu i służących różnéj treści, jak również książki gospodarcze do pojęcia włościan przystępnie opracowane. Książki do nabożeństwa w różnych edycyach i gustownych oprawach po cenach przystępnych; mianowicie Dunin Książka do nabożeństwa na papierze zwycz. w płótno angielskie ze złoceniem za rs. 1 k. 50.

Osoby zapisujące z prowincji książek za rs. 10, płacić będą tylko rs. 9 i koszta przesyłki ponosi księgarnia.

Osoby nabywające w miejscu za rs. 10, płacić będą rs. 8.

Co do osób w odległych stronach Cesarstwa zamięszkałych, zapewnia się tylko przesełka Obstalunku na koszt księgarni.

Katalogi na żądanie przesełamy.

KORRESPONDENCJA.

Pani Karo. Kra. pismo *Univers Illustré* kosztuje rocznie rs. 7 kop. 88½. Okres roczny tego pisma zaczyna się od 1 Czerwca.

Panu Brzostow. W zarządzie pocztowym wszystkie przesłane pieniądze użyte zostały na prenumeratę.

Pani Jadwidze B. Koronka *kluni* znacznie staniała; łokieć wązkiéj dostać można po kop. 30.

Pani Julji Fuda., Pani Zub., Pani Glas., pani Ba. sprawunki wysłano.

Pani Walerji Bo. Kokarda z włosów do tyłu głowy kosztuje rs. 4.

Pani Grabow. Do ubrania bluzki fularowéj najwłaściwsza będzie aksamitka czarna pokryta wstawką *kluni.* Przybranie to kosztować będzie rs. 3.

Pani Jadwidze Wło. Najtańsze kołnierzyki płócienne stojące kosztują po kop. 7½. Para odpowiednich mankietów kop. 9. Wykładanych kołnierzyków dostać można od kop. 12½. Z cienkiéj weby i ładnym fasonem płacą się po kop. 30. Haftowane garnitury mogą być od r. 1.

Panu Jakóbowi Rusiec. Do prenumeraty Tygodnika należy się jeszczo kop. 75.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie